Rozmaitości

Dnia 28. Stycznia **Nr 4.** 1837 Roku.

SCENY
Z KEANA, NOWEGO DRAMATU
ALEXANDRA DUMAS.

Udzielamy czytelnikom naszym wyimku ze sztuki, która w Paryżu największe uzyskała pochwały. Lubo wyimek ten sam z siebie jest zrozumiały, umieszczamy wszelako krótki rozbiór scen poprzedniczych. — Miss Anna Damby, młoda dziedziczka ogromnego majątku, ucieka z domu swojego opiekuna, który ją zmusza do oddania ręki lordowi Mevil, chcącemu przez ożenienie się z nią podnieść swój podupadły majątek. Anna przez pociąg wewnętrzny zaznajamia się z Keanem, największym w onym czasie aktorem Anglii i zwierza mu swój powzięty zamiar, iż także chce się sztuce poświęcić. Kean stara się ją odwieść od tego przedsięwzięcia i to jest osnową tych scen:

Anna. Jestem więc u niego... będęż miała odwagę wyjawić mu to, co mnie tu sprowadza? O Boże, dodaj mi siły! umieram prawie.

Kean (wchodząc). Pani zrobiłaś mi ten zaszczyt, że pisałaś do mnie. Miałżebym tak być szczęśliwym, że jéj w czém służyć mogę?

Anna. To głos jego! Przebacz panie mojemu pomieszaniu; to rzecz naturalna, że jakkolwiek jesteś skromnym, jego sława, jego talent, jego jeniusz...

Kean. Pani....

Anna. To wszystko miesza mię więcéj, niźli przyjęcie tak grzeczne uspokoić zdoła. Lecz powiadają, że wćpan jesteś równie dobrym, jak wielkim. Gdybyś był wielkim tylko, pewniebym do niego nie przyszła.

Kean. Siadaj pani; mówiłaś mi, że mogę ci w czémeś służyć. Szczérze tego pragnę, a jednak wstrzymuję się z zapytaniem, jaka przyczyna sprowadza ją do mnie, albowiem uczyniwszy zadość żądaniom pani, mogłbym się jéj miléj obecności pozbawić.

Anna. Wiele spodziéwam się od pana. Idzie tu o moje szczęście, o moję przyszłość, a może i o życie moje!

Kean. O pani szczęście? Rysy jéj czoła samo tylko szczęście zwiastują; o przyszłość? jakaż złowieszcza przepowiednia, chociażby to nawet była owa przepowiednia czarownic Makbeta, mogłaby pani co innego, okrom szczęścia wróżyć. O jéj życie nareszcie? Zawsze od najpogodniejszego oświécone słońca same kwiaty wydawać będzie.

Anna. Może lata, które do życia mi pozostają, od dotąd przeżytych szczęśliwszémi będą; bo panie Kean, jeszcze przed chwilą pytałam się sama siebie, czy mam iść do wćpana, czy umrzéć.

Kean. Przestraszasz mię pani.

Anna. Przed chwilą byłam narzeczoną pewnego człowieka, którym się brzydzę, którym pogardzam, a z którym chce mnie przemocą połączyć, nie moja matka, nie mój ojciec — jestem siérotą! tylko mój opiekun, któremu rodzice moi obumiérając wszelką władzę powierzyli. Wczoraj miał być los mój roztrzygnięty, lecz bądź z szaleństwa, bądź z wyższego natchnienia, opuściłam dom opiekuna. Uciekłam, dopytywałam się o pomieszkanie wćpana; pokazano mi je, i oto jestem...

Kean. Czémże przychodzę do tego honoru, że mnie pani czy za doradzcę, czy za obrońcę chcesz wybrać?

Anna. Wćpana przykład, który mi udowodnia, jak można samemu sobie otworzyć przyzwoite, a nawet godne sławy źródło zarobku.

Kean. Czy pani masz teatr na myśli?

Anna. Tak jest. Od dawna już wzrok mój zwrócił się z upragnieniem na ten zawód.

Przykład panny Siddons, panny O'Neil, a ostatnią razą panny Fanny Kemble...

KEAN. Biédna istoto!

ANNA. Zdajesz się panie ubolewać nademną, a jednak nic nie odpowiadasz.

KEAN. Tyle młodości, tyle delikatności jest w tobie pani, że byłoby występkiem nie powiedzieć jéj tego, co myślę. Czy pozwolisz mi, abym jak ojciec z tobą pomówił?

ANNA. Ach, proszę oto.

KEAN. Nie lękaj się niczego; od téj chwili jesteś mi tak świętą, jak gdybyś siostrą moją była.

ANNA. O, jakże dobrym jesteś mój panie!

KEAN. Pani poznałaś wyzłacaną stronę naszego stanu i zostałaś nią omamioną. Ja pokażę jéj stronę odwrotną tego medalu, mieszczącą dwie korony, jednę z kwiatów, a drugą z cierni.

ANNA. Słucham słów twych panie, jak gdyby Bóg do mnie przemawiał.«

KEAN. Pani jesteś piękną. Jestto coś, jestto bardzo wiele w tym zawodzie, w który chcesz wstąpić, ale nie jestto jeszcze wszystko; natura uczyniła swoje, ale pozostaje sztukę wykształcić.

ANNA. O, pod wćpana kierunkiem łatwo mi to pójdzie, będę robiła postępy, pozyskam sławę.

KEAN. Może za pięć lub sześć lat, bo nie sądź pani, byto być mogło bez czasu, rozmyślania i nauki. Są niektórzy uposażeni od natury, co się z jeniuszem rodzą, ale tak, jak statua rodzi się w bryle marmuru. Potrzeba do tego ręki Praxytela, albo Michała Angelo, by z bryły zrobił Wenus lub Mojżesza. A połóżmy — bo wierzę temu, że pani do owych wybranych należéć możesz— połóżmy mówię, że za cztéry lub pięć lat jéj talentowi i jéj sławie nic więcéj do życzenia nie pozostanie; wszakże pani tylko sławy szukasz, jéj bowiem ogromny majątek...

ANNA. Uciekając z domu opiekuna, zrzekłam się wszystkiego.

KEAN. Więc pani nic już nié masz?«

ANNA. Nic wcale.

KEAN. Gdybyś miała nawet wszystkie téj sztuce odpowiedne własności, to jednak do piérwszego wystąpienia potrzebujesz przynajmniéj sześć miesięcy.

ANNA. Szczęściem, że w młodości mojéj nauczyłam się drobnych robót niewieścich, które dostateczne dadzą mi utrzymanie. Będę pracować.

KEAN. Dobrze. Połóżmy i to, że piérwsze wystąpienie pani świetnie się powiedzie i że znajdziesz dyrektora, który ci sto funtów szterlingów rocznéj płacy wyznaczy.

ANNA. Przy moich tak skromnych, tak ograniczonych życzeniach, sto funtów byłyby mi aż nadto dostatecznémi.

KEAN. Jestto czwarta część tego, co pani na ubiory potrzebować będziesz. Moja pani, materyje, aksamit i dyjametny są drogie. Wszakże nie zechcesz sprzedawać miłości swojéj dla nabycia tych ozdób?

ANNA. Mój panie...

KEAN. Przebacz, będę milczał, albo mi pozwól wszystko powiedzieć. W chwili, gdy wyjdziesz z tego pokoju, rozmowa nasza zapomnianą zostanie.

ANNA (spuszcza na twarz zasłonę). Mów pan.

KEAN. Pani jesteś piękną. Pani nie znasz jeszcze naszych angielskich dziennikarzy. Są między nimi niektórzy, co powołanie swoje ze czcigodnéj pojęli strony, którzy uczęstnicząc wszystkiemu, co szlachetne, są obrońcami wszystkiego, co piękne, wielbicielami wszelkiéj wielkości; ci są sławą piśmiennictwa; są to aniołowie, którzy naród sądzą. Lecz są drudzy także moja pani, którzy nie mogąc sami działać, do krytykowania się biorą. Ci są zazdrośni o wszystko, zawiśni wszystkiemu, ku wszystkim są w nieprzyjaźni; plugawią wszelką szlachetność, niszczą wszelką piękność, wszelką wielkość poniżają. Może na swoje nieszczęście podobasz się któremu z tych ichmościów, ten nazajutrz na twój talent, a potém na twój honor się targnie. Niedoświadczona zechcesz może wiedziéć powód, dla czego tak z tobą postępuje; pełna szczéroty i czystości serca tak przyjdziesz do niego, jakeś do mnie przyszła; zapytasz go o przyczynę jego nienawiści i co masz czynić dla jéj uniknienia. On odpowié, żeś się wcale, co do jego zamiarów, omyliła, że jéj talent podoba mu się, że nié ma nienawiści ku tobie, ale i owszém, że cię kocha. Na to zerwiész się pani z krzesła, jak to właśnie teraz czynisz, a on powié: »Usiądź pani, albo jutro...«

ANNA. Szkaradnie!

KEAN. Połóżmy, że pani ujdziesz téj próby, aleź oczekuje cię jeszcze druga, a tą są jéj

rywalki. Przy teatrze nie ma przyjaciółek, są same tylko rywalki. Te tak z panią postąpią, jak ze mną Cimmer i inni, których tu wymieniać nie chcę. Każda koteryja wyciągnie swoje tysiąckrotne ramiona dla przeszkodzenia pani, byś w swym zawodzie kroku naprzód nie postąpiła, otworzy swoję tysięczną paszczę i nią cię w oczy wyszydzi, zabrzmi tysiącznym głosem, by wszystko, co dobre, o twoich rywalkach, a co złe, o tobie powiedzieć. Te współzawodniczki dla zgubienia pani użyją środków, któremi pogardzasz; hańbę i pochwałę okupią ceną, która im łatwo przychodzi, lecz któréj pani nie będziesz w stanie zapłacić. O nic nie troszcząca się, niewiadoma i łatwowierna publiczność, która nigdy nie wie, jak ta wziętość i te kłamstwa szkaradnie się tworzą, wszystko to za prawdę weźmie, ponieważ zawsze jedno powtarzać jéj będą. Przyjdzie czas, że przekonasz się pani, iż nikczemna złośliwość, iż głupota i mierny nawet talent wszystkiém stać się mogą, kiedy są z podstępem w związku, a bez intrygi: nauka, prawdziwy talent i jeniusz na nic się nie przydadzą. Pani temu uwierzyć nie zechcesz, czas długi o tém powątpiewać będziesz, nareszcie ze łzami w oczach, z obrzydzeniem w sercu, z rozpaczą w duszy, przeklniesz każdą chwilę, w któréj owę nieszczęsną powzięłaś myśl ubiegania się za sławą, która tyle kosztuje, a tak mało zysku przynosi. Podnieś pani zasłonę, już o tych szkaradnych rzeczach skończyłém.

Anna (podnosi zasłonę). O panie Kean, teraz domyślam się, że wiele cierpieć musiałeś i jakżeś temu zaradzał?

Kean. Cierpiałem, nie przeczę, ale nie tyle, coby kobiéta cierpieć musiała, bo jestem mężczyzną i bronić się mogę. To prawda, mój talent do krytyki należy; niech go ona depce nogami, rozdziéra pazurami, kąsa zębami swojemi, jestto jéj prawo i wykonywać je może, ale gdy który z owych szynkownych krytyków poważy się zajrzeć do mojego prywatnego życia, o! natenczas odmienia się scena; wtedy grożę, a on drżeć musi. Lecz to bardzo rzadko się zdarza, zbyt często widzą Hamleta, jak on szpady swojéj użyć umié, iżby chcieli wchodzić w rozprawę z Keanem.

Anna. Ażaliż tych wszystkich cierpień nie przeważy to jedno słowo, które sam do siebie powiedzieć możesz: »Jestem królem!«

Kean. Jestem królem, to prawda, niemal trzy razy w tygodniu, z berłem z pozłacanego drzewa, z dyjamentami z kryształu i z koroną z mosiądzu. Królestwo moje ma trzydzieści pięć stóp kwadratowych obwodu, a moje panowanie jedno gwizdnienie w nic obrócić może. W istocie, jestem bardzo poważanym królem, bardzo potężnym, a mianowicie bardzo szczęśliwym. Pani żartować raczysz.

Anna. A gdy świat cały sypie wćpanu oklaski, gdy mu zazdrości, gdy go podziwia...

Kean. Ja wtedy złorzecząc sobie i przeklinając siebie, zazdroszczę losu drążnikowi, zazdroszczę włościaninowi, uznojonemu za pługiem, i majtkowi na pokładzie okrętu.

Anna. Gdyby jednak jaka młoda, bogata osoba, któraby wćpana kochała, rzekła do niego: »Keanie, mój majątek, miłość moję, ofiaruję wćpanu; opuść to piekło, to życie, które cię wewnątrz trawi, oddal się od teatru!

Kean. Co, ja! ja miałbym teatr opuścić!? O, pani nie wiesz jeszcze, coto jest teatralna szata, jestto szata Nessusa, którą tylko razem z ciałem zedrzeć z siebie można. Ja miałbym zrzec się tych uczuć, téj świetności, téj rozkoszy, miałbym miejsca mojego odstąpić Kemblemu lub Makreademu, ażeby mnie w teatrze moim za sześć może miesięcy całkiem zapomniano!? Pomniéj pani na to, że aktor nic po sobie nie zostawia, że żyje tak długo tylko, jak długo jest czynny, że pamięć jego gaśnie wraz z pokoleniem, do którego należy i że z dnia w noc, z tronu w nic zapada! Kto się odważy jednym krokiem wstąpić na deski teatralne, ten w swoim zawodzie aż do końca dotrwać musi, ten wszelką radość, wszelkie cierpienia wyczerpać musi, wychylić puhar aż do dna, i miód i drożdże wypić! Potrzeba skończyć, jak się zaczęło, umrzeć, jak się żyło, umrzeć, jak umarł Molier, śród zgiełku oklasków, gwizdań i brawa. Lecz jeźli czas jeszcze uniknąć téj drogi, jeźli zapory jeszcze przekroczonemi nie zostały, o! to lepiéj unikać ich, na mój honor wierzaj mi pani!

Anna. Rada wćpana, panie Kean, jest mi rozkazem.

(Anna w scenie następnéj opowiada Keanowi swoje cierpienia. Przyznaje się, że lorda Mevil nienawidzi, tego zaś, co z taką starannością ukryć usiłuje, łatwo się czytelnik domyśli.)

2

Kean. Sądzę, że zgaduję myśli pani, przebacz, jeźli się mylę. Jéj nienawiść ku lordowi Mevil wypływa z uczuć ku innemu, z uczuć całkiem nienawiści przeciwnych.

Anna. Tak jest, nie mylisz się panie. Ale cóżem ja temu winna. Dziwne przeznaczenie uniosło mię z sobą, żadna kobiéta oprzéć się mu nie byłaby w stanie. Ach, dla czegoż nie dano mi umrzéć!

Kean. Umrzéć? Tak młoda, tak piękna! I czemużto chciałaś pani umiérać?!

Anna. Nie ja chciałam życie opuścić, sam Bóg mnie na to przeznaczać się zdawał. Głęboka malancholija, gorzka pogarda życia opanowała mię. Ciału mojemu niedostawało siły, piersiom powietrza, oczom światła. Przekonałam się o niemożności dłuższego życia i uczułam, że mnie coś do śmierci ciągnie, czemu ani sprzeciwiałam się, ani czego nie lękałam się nawet, bo do życia najmniejszéj nie miałam chęci. Niczego już nie pragnęłam, niczego nie spodziéwałam się, nic nie kochałam. Opiekun zaciągnął rady najbieglejszych lekarzy Londynu, a wszyscy zgodzili się na to, że słabość moja była do niewyleczenia i że cierpię chorobę naszego klimatu, na którą wszelka sztuka lekarska jest nadaremną. Jeden z lekarzy zapytał, czy pomiędzy rozrywkami młodości mojéj był mi także teatr pozwolony; opiekun odrzekł, że w ostrym domu edukacyjnym, w którym wzrosłam, rozrywka ta była mi zawsze zabranianą. Na tém budował lekarz ostatnią swoję nadzieję. Opiekun przystawszy na wszystko, chciał tego dnia jeszcze zrobić doświadczenie. Wziął lożę i zapowiedział mi, że wieczór w *Drurylane* przepędzimy. Słyszałam zaledwo, co mówił, przyjęłam podane sobie ramię, wsiadłam do powozu i, jak zwyczajnie, dałam się prowadzić, gdzie chciano, zostawując to towarzyszącym mi osobom, ażeby czuły, myślały, a nawet żyły za mnie. Weszłam do sali teatralnéj. Piérwsze uczucia moje były bolesne prawie; ta mnogość świateł raziła mię, czułam duszność w ciepłéj, woniami napełnionéj atmosferze, wszystka krew spłynęła mi do serca i omało nie zemdlałam. W téj chwili jakaś świeżość powiała na mnie; podniesiono zasłonę. Instynktowo obróciłam się ku scenie, dla odetchnienia świeżém powietrzem. Na raz usłyszałam głos: o! głos ten odbrzmiał w mojém sercu... cała istność moja rozpłynęła się w błogie upojenie! Głos ten wymawiał melodyjne wiersze, jakich nigdy jeszcze nie słyszałam; takie wymawiał wyrazy miłości, o jakich nie sądziłam, ażeby ustami ludzkiemi wymówione być mogły. Cała dusza wpłynęła w moje oczy, w moje uszy. Byłam milczącą i bez ruchu, jak posąg zadziwienia; patrzałam, słuchałam; grano Romea.

Kean. Któż grał Romea?

Anna. Wieczór upłynął mi, jak jedna chwila. Dech wciągałam w siebie, nic nie mówiłam, nie dawałam żadnych oklasków. Powróciłam do domu z powiérzchowności zimna i milcząca, ale pełna zapału, pełna życia w sercu. Nazajutrz zaprowadził mię opiekun na »Murzyna z Wenecyi.« Przyniosłam z sobą wszystkie przypomnienia z Romea. Ach, nie byłto ten sam głos, ta sama miłość, ten sam człowiek; lecz było to samo upojenie, to samo szczęście, ten sam zapał, a ja mogłam wymówić, mogłam zawołać: jakżeto piękne, jak wielkie, jak wzniosłe!

Kean. Któż grał Othella?

Anna. Trzeciego dnia sama prosiłam, by mnie do *Drurylane* zaprowadzono. Byłoto piérwszy raz od roku może, żem powiedziała, czegom sobie życzyła. Łatwo zgadniesz wćpan iż mi na to życzenie pozwolono. Wróciłam więc znowu do tego czarodziejskiego zamku. Szukałam tam łagodnéj, melancholijnéj postaci Romea, albo pałającego, czarnego czoła Murzyna, a znalazłam ponure, blade oblicze Hamleta. O, tą razą wszystkie uczucia, które serce moje przez trzy wieczory zbiérało, w jedno uczucie spłynęły: ręce moje wydały oklask, usta wyrazy pochwały, a oczy zalały się łzami.

Kean. A któż grał Hamleta?

Anna. Romeo nauczył mnie poznać miłość, Othello zazdrość, Hamlet rozpacz. To trzykrotne uroczyste poświęcenie udoskonaliło moje jestestwo. Więdłam dawniéj bez siły, bez życzenia, bez nadziei; pierś moja była czczą, bo dusza z niéj była uciekła; lecz jéj miejsce zajęła odtąd dusza aktora i przekonałam się, że dopiéro od dnia tego oddychać, czuć i żyć zaczęłam.

Kean. Ale pani nie powiedzałaś mi, kto był ów człowiek, co sprawił w niéj taką odmianę, kto był ów Prometeusz, który ożywił

gasnącą już duszę, kto był ów Bóg, który młodą dziewicę z grobu ocucił?!

ANNA. Ach, właśnie też tego nazwiska nie śmiém powiedzieć, bo się lękam, że odtąd nie będę mogła podnieść ku wćpanu wzroku mojego.

KEAN. Anno! więczeto prawda, prawda w istocie? Jażto ten nieszczęśliwy jestem!?...

WIENIEC MIRTOWY.

Ośmnastoletnia Amalia, najpiękniejsza oblubienica stolicy, siedziała u boku swojego ukochanego Wacława, używając błogich chwil szczęścia. Słodkie niebo rozkoszy, które kochanków dniem przed zawarciem wiecznych ślubów nadzieją śmiejącej się do nich przyszłości upajać zwykło, przepełniło ich serca najprzyjemniejszemi uczuciami.

»O, jakże niewymownie szczęśliwym robisz mię kochany Wacławie!« wyrzekła oblubienica miłemi ustkami swojemi, w tonie najczulszej miłości, a Wacław wynurzył jéj na wzajem to tylekrotnie już powtarzane zapewnienie, że ją wiecznie kochać będzie, i że ona jest piérwsza, którą kocha. Gdy tak kochankowie rozkoszują, słuchając obopólnych zwierzeń swoich, tylekrotnie słyszanych już, a zawsze jednak mających dla nich powab nowości; wchodzi pokojowa Basia z wieńcem mirtowym do ślubu, który u moduiarki zamówiono. Z wesołym podskokiem biegnie na przeciw niéj piękna oblubienica, otwiéra pudełko i pięknémi rączkami swojemi wyjmuje wieniec mirtowy, z którego ciemno-zielonych drobnych listeczków gdzie niegdzie rozrzucony kwiat się uśmiécha, tak przyjemnie, jak szczęśliwe oczy dziewicy. Wacław przepełniony wewnętrznémi uczuciami, których jednak głosem nie wydaje i wszystkie je w sobie dla tém większéj mieści rozkoszy, w milczeniu stoi za swoją kochanką, która przy dużém zwierciedle przypatrując się, czy dobrze wieniec od ciemnych jéj włosów odbijać będzie, równémi jak Wacław upojona uczuciami, wydała je w dwóch łzach, co z modrych ócz jéj spłynęły. Z boku stała Basia, rzucając wzrokiem na kochanków, w którym szydność z zawiścią się łączyła. Na raz przyskakuje do okna, szydny uśmiéch ulatuje z jéj twarzy i z płaczącym głosem obraca się do oblubienicy, marzącéj w objęciach kochanka o przyszłém szczęściu swojém: »Ach, patrz pani,« rzecze, »oto chowają właśnie biédną Ludwikę W*! Nieszczęśliwa dziéwczyna, umarła z żalu zawiedzionéj miłości... Ach, co się tam z matką jéj dzieje!«

Wacław zadrzał, a Amalia przystąpiła do okna. Dwóch ludzi w czarnych osłonach niosło prostą bez żadnych ozdób trunnę; nie było ani księdza, ani nikogo na tym pogrzebie, tylko w ubogiéj szacie matka szła za trunną swéj jedynéj córki i nie płakała już, bo nadmiar boleści odebrał jéj i tę jedyną nieszczęśliwego pociechę. Amalia, dotknięta ową okropną sprzecznością, jaką wystawiało jéj szczęście, w porównaniu z nieszczęściem zmarłéj, zalała się łzami, a Basia mówiła daléj:

»Ach, patrz pani, ani wieńca, ani kwiatka nié ma na trunnie biédnéj Ludwiki, a jednak ona była tak dobrą, prawdziwą oblubienicą nieba!«

Wskróś przerażona Amalia rzecze zwracając się do swojego narzeczonego: »Ach mój Wacławie, gdybym ciebie tak widziéć musiała, lub gdybym ja była tak w trunnie na miejscu Ludwiki! Ale nie, tego Bóg dobrotliwy nie dopuści. Przygotowując nam największą rozkosz życia, nie zechce... lecz dla Boga, cóż ci to?«

Wacław zbladł, jak trup, oczy jego wydawały zimne bez duszy spojrzenia, zsiniałe usta rozwarły się bez głosu, nogi pod nim zadrzały: »Puśćcie mnie,« rzecze na pół martwym głosem, »mdło mi się zrobiło, ale nic to, to przejdzie, tylko wyjdę na świéże powietrze!« To mówiąc porywa za kapelusz i wybiega z pokoju.

Zdziwiona i nieprzyjemnie dotknięta Amalia, patrzyła za nim chwil kilka w milczeniu, a potém dając pokojowéj sakiewkę z piéniędzmi, rzecze:

»Schowaj wieniec, a te piéniądze daj biédnéj zasmuconéj matce!« I zamyślona, poszła powoli do swojéj matki, która ją w salonie z herbatą oczekiwała. Basia otarła łzę z oka i szepnęła do siebie: »Niech cię Bóg za to wynagrodzi!« a wziąwszy wieniec i sakiewkę, pobiegła i dogoniła niosących ciało w poblizkiéj uliczce. Nic nie mówiąc, piękny wieniec ślubny położyła na trunnie, a podpiérając chwiejącą się matkę i mówiąc jéj słowa pociechy, dar od pani swojéj wsunęła jéj do ręki. »O szczęśliwi bogacze!« westchnęła staruszka; ale nagle dotknięta boleścią dodała: »O nie, mojéj nieszczęśliwéj córce nikt straconego szczęścia piéniędzmi nie wynagrodzi, nie powróci jéj życia, a z życiem spokoju duszy!«

W cichości pochowano trupa; łzy towarzyszyły do grobu zmarłéj za wcześno dziewicy, łzy przyjaciółki i matki. Basia uradowana, że mogła oddać ostatnią przyjaciółce swojéj przysługę i ubogą jéj trunnę ozdobić najpiękniéjszym mirtowym wieńcem, po pogrzebie wzięła go z sobą, i tak, że nikt nie widział, włożyła na powrót do pudełka.

* * *

Szczęśliwych kochanków połączono ślubem małżeńskim. Huczne było wesele, świetna uczta i bal przez noc całą trwający. Jeszcze przed końcem balu, nim rozjechali się goście, wynieśli się państwo młodzi do przeznaczonych im pokojów. Panna młoda, świéżo rozogniona tańcem, jaśniała

rozkoszą ślubem uwieńczonéj miłości i pałała kieliszkiem szampana, którym wypiła zdrowie matki i obecnych gości, dziękując wraz z mężem za toasty, za zdrowie państwa młodych wniesione.

Gdy nowożeńcy ujrzeli się sami w komnacie, zapytała Amalia: »Wacławie, czy zawsze tak kochać mnie będziesz, jak dzisiaj?«

»Zawsze i wiecznie najukochańsza Amalio!«

»Jestemże ja piérwszą twoją miłością?«

»Piérwszą i jedyną, poprzysięgam, a jeźli kłamię, niech na mnie kara krzywoprzysięztwa spadnie!«

Gdy to mówił, na pogodném dotąd niebie zaszumiał wicher burzliwy i groźnie oknami komnaty zadzwonił: »Krzywoprzysięztwo!« coś zajęczało jak gdyby z grobu, i powtórny dał się słyszéć szum wichru, a przez okno, burzą wyrwane, śnieg z wiatrem wpadając, piersi i czoło rozognionéj Amalii obwiał przenikliwém zimnem.

Amalia zadrzała, zbladła, jak biała róża, i mdłość ją owionęła. Rozpaczający wykrzyk Wacława sprowadził matkę i przyjaciółki, przerwano ucztę, a przywołany lekarz lękał się napadu gorączki. Trzy okropne dni i nocy przesiedział nowożeniec u łoża choréj małżonki. Bladość jéj twarzy nie oblała się więcéj rumieńcem życia, leżała bez przytomności prawie, w otwartych i osłupiałych jéj oczach pałały ognie najgwałtowniejszéj gorączki, a usta wymawiały bez żadnego ładu wyrazy okropnych fantazyj. Lekarz nie odstępował od łoża. W nocy dnia trzeciego nie robił nadziei wyzdrowienia. Matka była w rozpaczy. Dotąd w śnie gorączkowym pogrążona Amalia raptem się budzi, o własnéj sile podnosi się na łożu i przerażającym woła głosem: »Nie puszczajcie jéj! Ludwika, Ludwika idzie; chce swój wieniec ślubny odebrać. Już przez dwie nocy była u mnie, a ja nie oddałam jéj wieńca! O Boże! wszakże go jéj nie ukradłam! Czy słyszycie, teraz idzie znowu, zbliża się ku mnie, wyciąga swoję trupią, kościstą rękę! Chwyta mnie!...«

I chora z krzykiem przerażającym pada na poduszki, z konwulsyjném poruszeniem przyciska wieniec do swoich ciężko oddechających piersi, a czysta jéj dusza z ostatniém ulatuje westchnieniem.

Okazały sprawiono jéj pogrzeb, wieniec mirtowy po drugi raz trunnę ozdobił, a podczas gdy grób Ludwiki prostym, drewnianym oznaczony jest krzyżem, pomnik z marmuru, złotym jaśniejący napisem, wznosi się dumnie na mogile ostatniéj znakomitego rodu potomkini. — Wacław był na pogrzebie, ale nazajutrz bez wieści gdzieś zniknął.

KAROL LIPIŃSKI.

Ze Lwowa. Karol Lipiński, po swojéj ośmnastomiesięcznéj, artystowskiéj podróży, powrócił do naszéj stolicy d. 23. grudnia r. z„ ale po krótkim u nas pobyciu, znowu wyjechał, dla dania koncertów w czasie kontraktów kijowskich.

Wiedząc, jak miło czytelnikom naszym słyszéć o chwale ziomka, nabytéj w zawodzie umniczym; umieszczamy tu w przekładzie wyimek z Gazety Wrocławskiéj, którą mamy przed sobą, a w któréj referent, zdając sprawę o grze Lipińskiego, i wspomniawszy o jego zaszczytném przyjęciu nad Sekwaną i Tamizą, w następném brzmieniu tak swoję rzecz daléj prowadzi... »I tak jest w saméj istocie (mówi referent), bo ktokolwiek widzi, jak Lipiński po pasmie strón, smyczkiem swoim nie tylko z góry w dół, ale bardzo często i wprzód i wstecz, to jest: raz ku podstawkowi, to znowu ku prożkowi skrzypców, z podziwną lekkością i wprawą wodzi; ten zapewne prędzéj z strón jego wylotu Zefiru, a niżeli gromnéj burzy jest nadziejny, którą on nagle z pogodnego nieba najsłodszéj miłodzwięczności w łoskotny sposób, nito jaki wichr, sprowadza! Z tém wszystkiém, chociaż urok barw łagodnych, które Lipiński więcéj w sposób tonów fletowych, niż poślizgiem smyczka przy podstawku wyrobionych, najmisterniéj rozcieniając, niezawodny, i wielki skutek sprawia; nie zdaje nam się przecież, aby to właśnie miało być istotném lub główném znamieniem gry jego, i owszém jesteśmy tego zdania, iżby ona prędzéj w lekkości i słodyczy, niżeli w mocy i wzniosłym stylu, rówiennika znalazła; każde bowiem *fortissimo* Lipińskiego, na jego wybornym instrumencie, nie jestto zwyczajne wywabienie silnych tonów, ale jestto raczéj, jeżeli nam się tak wysłowić wolno, formalne ich wypiłowywanie, a to tak w przemożny sposób, iżby często lękać nam się wypadało, azali mu skrzypce w ręku nie pękną, gdybyśmy zarazem nie widzieli, jak to mu bez wszelkiéj pracy przychodzi, i jak go to do żadnéj ciarlataneryi nie wiedzie. Jego jędrnym tonem drzy sala. Gdy przytém bączyć zechcemy, że żadna trudność nie może mu zajść drogi, któréjby zaraz, jak błyskawica, nie pokonał; że przez najzawilsze idąc manowce, ciągle i zawsze wedle myśli kompozycyi z jednaką kroczy mocą, i od téj myśli ani na chwilę nie zbacza; gdy zważymy, jak on, pomimo że się z każdym wirtuozem w pieściwości gry śmiało mierzyć może, jeszcze prócz tego jest nie tylko w najdzikszych, ostro-sprzecznych przechodach, ale oraz i we wszystkich pośrednich światło-cieniach tonów, we wszystkich najrozmaitszych sposobach prowadzenia smyczka, samowładnym i dowolnym panem; gdy się nakoniec zastanowimy, jaka mu w roztapianiu i przemienianiu tonów, najpodziwniejsza łatwość posługuje, którаby najbieglejszemu śpiewakowi mistrzowskim wzorem dźwigania głosu (*portamentos*) stać się mogła; więc łatwo każdy znawca gry skrzypcowéj pojąć może, że Lipiński, będąc od natury głęboką umysłowością i gorącą fantazyją wyposażony, ma dar nadzwyczajny umnictwa

którém swego słuchacza w czarodziejskie koło wciągnąć, i tamże urokiem dziwu w osłupienie zakląć go podoła. Jego *Rondo* jestto żart swawolny, z trudnościami igrający; jego *Adagio* głęboko bijące źródło rzewliwości; jego *Allegro*, wulkan pod nieba ogniem miotający! Wszystkie jego dwudźwięki, trójdźwięki leją się chyżą koleją i głosem czystego srébra! W zakończenie wyznać tu musimy, iż przypominamy sobie, żeśmy w grze jego jeden *siedmiotonowy* przechód słyszeli, co podług dotychczasowego pokładu palców w żaden sposób wykonać się nie daje, i tylko samemu Lipińskiemu do rozwiązania pozostawiono.«

Z Warszawy. Noworocznik *Wianek*, zebrany i ułożony przez K. Korwella, wyszedł także na rok bieżący, nakładem J. Kaczanowskiego. Wydanie ozdobne. — Księgarnia A. M. Gliksberga przedsięwzięła w ciągu niniejszego roku wykonać nowe wydanie: *Wszystkich dzieł Jana Śniadeckiego*, w formacie kieszonkowym, zupełnie podług znajoméj edycyi lipskiéj Breitkopfa i Härtla innych klasyków polskich, teraz wychodzącej. Całe to wydanie w 7 lub 8 tomach zawarte, pomnożone będzie obszérną i ciekawą bijografiją autora, z nowych źródeł czerpaną, i ozdobione pięknym wizerunkiem. — Wydawca *Podróży malowniczéj około świata* wydawać zaczął z początkiem roku bieżącego: *Podróż malowniczą po Europie*. (K. W.)

Scena polska poniosła nader smutną stratę przez zgon Wojciecha Piaseckiego, artysty dramatycznego, jednego z najcelniejszych ozdób teatru warszawskiego, który umarł dnia 8. stycznia r. b. Powszechnie lubiony ten artysta łączył z talentem swoim najpiękniejsze przymioty serca. (D. P.)

Astronom Bogusławski we Wrocławiu otrzymał od wydziału filozoficznego w Paryżu patent na doktora filozofii.

Znany autor rossyjski Tadeusz Bułgaryn wydał w Petersburgu nowy romans w dwóch tomach, pod nazwą: »Pamiętniki radzcy tytularnego Czuchina, albo zwyczajna historyja zwyczajnego życia;« a znany pod przybraném imieniem Kozaka Włodzimierza Ługańskiego autor, ogłosił drukiem kilka powieści, w których, jak w poprzedniczych, szczęśliwie obyczaje ludu maluje. Prawdziwe nazwisko jego jest Dahl, a tytuł ostatniego dzieła: »Co było i co nie było, czyli prawda i poezyja.«

Literatura pamiętników francuzkich zbogaciła się wydaném nie dawno dziełem, pod nazwą: *Mémoires d'un condamné politique, sous la restauration. Souvenirs de cinq années de captivité et cinq années de proscription en Suisse, en Allemagne, en Belgique, en Hollande, en Angleterre, en Portugal, en Espagne, et en Afrique. Par Charles Monier.*

Jest w druku nowy romans Bulwera, pod tytułem: *The siege of Granada* (Zdobycie Granady).

Jassy (w Multanach) mają od r. 1833 towarzystwo medyczne i historyczno-naturalne, którego założenie winno gorliwości doktorów Czyhak i Zotta. Liczy około 200 członków i weszło w związki z Rossyją, Węgrami, Austryją, Niemcami, Włochami, Francyją, Grecyją i Turcyją. Księgozbiór towarzystwa zawiera 1.500 tomów po największéj części w zajmujących je przedmiotach, posiada ono przytém inne szacowne zbiory, jako to: monet, skamieniałości, kruszców, roślin i arcy-ważny zbiór zoologiczny. Ze skarbu państwa pobiera na utrzymanie 6.000 piastrów, przytém od członków wpływa rocznie do kasy towarzystwa przeszło 10.000 piastrów, a wsparcia te, równie jak inne dary w skarbach przyrody lub sztuki, oraz gorliwość, z jaką mianowicie oświecona szlachta krajowa tem tak pożyteczném towarzystwem zajmować się nie przestaje, każą nam się po niém wiele dobrego i pożytecznego spodziewać dla téj gałęzi nauk, którą sobie za przedmiot badań swoich obrało.

W ciągu upłynionego roku wystawiano na siedmnastu teatrach paryzkich 296 nowych sztuk dramatycznych, a między temi 218 *vaudewillów*. Między sto ośmdziesiąt ośmiu autorami sztuk tych wyszczególniają się mianowicie: Bayard, który napisał sztuk 19; Théaulon i Leuven, którzy 11, a Scribe, Anicet i Cogniard, którzy 10 ich napisali. Następujący kompozytorowie muzyczni pracowali w roku 1836 dla paryzkich teatrów: Auber, Meyerbeer, Adam, Riffaut, Grisor, Gomis, Monpou, Fontmichel, Godefroy, Prévost, Gide, Heinseim, wreszcie panny Bertin i Puget.

Pisma francuzkie donoszą, że Paganini przybył w końcu grudnia do Marsylii, gdzie kilka koncertów dać zamyśla.

Wyprawa Arcyksiężniczki Teresy jest tak wspaniałą i bogatą, jakto godności domu cesarskiego i rozległym posiadłościom Arcyksięcia Karola odpowiada. Ośm skrzyń z najkosztowniejszemi rzeczami wyprawiono już do Neapolu. Jest w nich 100 sukien, 100 par bucików, 37 płaszczyków i t. d.; wszystko jak najwytworniejszéj roboty. Król Neapolitański kazał dla narzeczonéj swojéj zrobić we Florencyi kapelusz, który 3.600 lirów kosztuje i jeszcze do Paryża ma być posłany, aby go tam przystrojono. (G. P.)

Wychodząca w Turgowii gazeta, bynajmniéj nie kontenta, iż ostatnie nieporozumienia między Szwajcaryją a Francyją zachodzące, w spokojny sposób zagodzonemi zostały, obliczyła, że ostatni sejm szwajcarski ze 47 osób złożony, z których każda dziennie 16 frank. kosztowała, razem dziennie 752 fr. czynił wydatku. Sejm trwał przez dni 22. wydano zatém 19,552 fr. Jedynym skutkiem sejmu tego była dana Francyi pokój zwiastująca odpowiedź i taż odpowiedź tak znaczną kosztowała sumę, a ponieważ ona składała się tylko z 61 drukowanych wierszy, zawierających 466 słów, a 2856 głosek, przeto każde słowo kosztowało naród 41 frank. 8 1/2 baców, a każda głoska 6 1/2 baców. (Frank szwajcarski zawiéra na nasze pieniądze 33 3/4 kr. m. k. i mieści w sobie 10 baców.)

Dziennik wychodzący w Nowéj-Południowéj-Walii donosi: »Wzywa się wszystkich adwokatów w Europie, którzy klientów nie mają, ażeby udali się do téj osady, gdzie brak wielki prawników, a procesów podostatkiem.« Jestto wiadomość bardzo pożądana dla wielu adwokatów w Europie!

Mieszkańcy Nantucktu, w Ameryce północnéj, złowienie wieloryba za nadzwyczajny zaszczyt uważają. Pewna dama z Nantucktu, przez cudzoziemca do tańca proszona, zapytała go wprzódy, ile wielorybów złowił. Gdy się pokazało, że ten, jak na nieszczęście, w życiu wieloryba nie widział, został od damy w najwyższym stopniu wzgardzonym.

Zdanie Bulwera o pani Staël. Głębokie zdanie Bulwera o pani Staël, któréj życie całe uniesieniem ducha było, o autorce, która nie tylko literackie, ale i polityczne znaczenie miała, a w któréj sławna autorka jest ściśle z kobiétą połączona, nie będzie zapewne bez interesu dla szanownych czytelników, a mianowicie dla szanownych czytelniczek pisma naszego. Posłuchajmy zatém co o niéj mówi ulubiony autor teraźniéjszego świata czytającego, to jest świata czytającego romanse: »Pani Staël byłto Rousseau mężczyzna! Miała zapał jego, bez jego słabości. W wymowie byłaby go przewyższyła, gdy-

by za nadto mowną nie była. Lecz ona fijołki jeszcze pachnidłem zlewa, a różom koloru dodaje. Aczkolwiek duch jéj był męzkim, miała zawsze serce kobiéty i serce podawało jéj wyrazy, które duch przyozdabiał. Gdy jéj uczucia zamilkły, wtedy oniemieć musiała. Zalety i wady pism jéj jednakowe mają przyczyny. Uczucie brała za przekonanie i utworzyła sobie filozofiję uczuć. Mało jest ludzi, którzyby głębiéj od niéj uczuli stronę melancholijną życia. By zasmucić tęsknace serce swoje dostateczną u niéj była ta myśl jedna, którą tak często powtarzała: »Nigdym nie była tak kochaną, jak sama kocham.« Z drugiéj zaś strony znajdowała pociechę w tej saméj tkliwości, która jéj serce raniła. Jak wszystkim poetom równie jéj także już samo uczucie życia wielką rozkosz sprawiało. Przeniknioną była tą prawdą, że pojęcie życia cierpienia jego przeważa. Tylko czułe dusze wiedzą o tém, jaką jest rozkoszą istnienie. Religija, stanowiąca część jéj istoty, niebiańskim wdziękiem jéj życie barwiła. Jak charakterystyczną, jak delikatną była myśl owa, że gdy po śmierci jéj ojca jakie szczęście stało się jéj udziałem, ona takowe pośrednictwu jego, jak gdyby on żył jeszcze, winną być mniemała; wszakże żył dla niéj — w niebie! Pokój niech będzie jéj popiołom, a piękna sława w pamięć potomną! Jeniusz jéj nie może być w jéj płci przewyższonym, a gdyby kiedyś przewyższonym został, to tylko od takiéj istoty, któraby była więcéj, lub mniéj, jak kobietą.«

Poeta w Paryżu. I we Francyi umierają z głodu poeci. Smierć Elizy Mercoeur jest wiadoma; teraz Malfilatre taką samą umarł śmiercią. Rok temu niemal jak do Paryża przybył; był młodym, rączym, miał otwarte oko i smiejące się usta. Głowę do góry nosił i śpiéwał wesoło. Uważał cel swój za osiągnięty, bowiem od najpiérwszéj młodości te dwie zajmowały go myśli: Paryż i sława. Sądził, że za piérwszym do Paryża wstępem, już sławę pozyskał. Był pełen nadziei, przywiózł z sobą poezyje, romanse, *voudeville*. Byłato najcięższa paczka z jego rzeczy. Mniemał, że się jéj wkrótce pozbędzie. Ale nakładnicy dzieł, do których się udawał, pytali go, czy ma już imię literackie. Odpowiadał, że się spodziéwa niebawem miéć takowe. »Zróbże je sobie wćpan pierwéj,« mówili nakładnicy, »a wtedy obaczymy, czy co będzie z tego.« Udawał się do teatrów. To samo zapytanie, ta sama odpowiedź, to samo nieprzyjęcie sztuk. A jednak żyć musiał; bez rodziców, bez przyjaciół, sam jeden. Jestto smutny, okropny los. Nie tracił wszakże nadziei i postanowił w inny rzucić się zawód. Tu go pytano: czy zna się na prowadzeniu ksiąg kupieckich, tam znowu: czy umié rozróżnić gatunki muszlinów. Nie znając się na tém, przyznał się skromnie, że umié tylko po grecku, po łacinie i cokolwiek chemii. Drzwi mu wszędzie zamknięto. Przy tych przeszkodach wzrastała dzielność jego umysłu. Sprzedał bieliznę swoję, suknie, a nawet pierścień, ostatnią pamiątkę po matce, którą ubóstwiał. Za to kupił kilka tarcic, goździ, młotek i sam sobie zrobił budę, na któréj przyczołku napisał wielkiemi literami: »Pisarz publiczny.« Ośm dni upłynęło, a nikt nie przychodził, nikt usług jego nie żądał. Będąc głodnym, zdjął pychę z serca, wyszedł z budy i usiadł na poblizkim kamieniu. Przechodzącym pokazywał swoje zapadłe oczy, swoje wynędzniałe, blade oblicze. Lecz przechodzący patrzyli obojętnie na ten żyjący kościotrup i odchodząc mówili: »Ten człowiek się upił, zaledwo na nogach utrzymać się może.« Przed kilką dniami czytano w pismach paryzkich: »Na ulicy *des val re grace* znaleziono trupa pewnego ubogiego publicznego pisarza. Miał tylko podarty surdut na sobie i był nawet bez koszuli. Przy opatrzeniu trupa najokropniejsza pokazała się nędza. »Czy podobna!« zawołało kilku modnisiów w żółtych glancowanych rękawiczkach, »ażeby w Paryżu mógł człowiek z głodu umrzéć?!«

Napoleon krytykiem i poetą teatralnym. Swiat cały zna Napoleona jako wielkiego męża, jako ozdobę naszego wieku, ale nie każdemu może wiadomo, że tenże był także krytykiem i poetą teatralnym. *Montreal Journal* umieścił o tém kilka szczegółów, a zdaje się nam, że takowe nie będą bez interesu dla tych, co wielkich mężów radziby z każdéj widzieć strony, dla poznania ich charakteru we wszystkich okolicznościach. Umysł Napoleona, tak bardzo do praktycznych zwrócony rzeczy, mógł być w rzeczach beletryki dotyczących się, tylko czémś wielkiém, czémś wzniosłém zadowolony, lecz skoro na coś takiego natrafił, nigdy temu podziwienia swojego nie odmówił. Przede wszystkiém lubił trajedyję. »Ona (rzekł) rozognia duszę, podnosi serce, może i musi bohatérów tworzyć. Wyższa trajedyja bywała zawsze szkołą wielkich mężów; jest obowiązkiem monarchów zachęcać do tego poetów i rozpowszechniać ich dzieła. Kto wié azali Francyja nie jest winna Kornelowi większą część wielkich czynów swoich!« Równą przyjemność znajdował Napoleon w czytaniu Rasyna. Woltera nie cenił, bo ten dla niego był pełnym nadętości i błyskotek. Mawiał o nim: »On nie zna ani świata, ani ludzi, ani prawdy, ani wielkości uczuć. W *Mahomecie*, tak co do charakteru jego, jakoteż co do podłożonych mu zasad, ciężko zawinił nie tylko przeciw historyi, ale także przeciw sercu ludzkiemu. Znieważył wielki charakter Mahometa przez najpoziomszą intrygę, i mężowi, który światu inną postać nadał, każe tak działać, jak podłemu łotrowi, co najmniej, jeźli na szubienicę zasłużył. Poniżając wielko-dusznego Omara, prostym go skrytobójcą robi. Wolter na chwilę tylko sztuką zewnętrzną omamia czytelnika. Bliżéj się mu przypatrzywszy, niezmiernie wiele traci. *Brutus* jest sztuką równie tak lichą, jak *Mahomet*.« O Russie i jego *Nowéj Heloizie* mówił, że ten autor przeładował swój przedmiot; nie miłość, lecz szaleństwo skréślił; miłość powinna być rozkoszą, ale nie cierpieniem tortur. — O Napoleonie, jako o poecie dramatycznym, rzeczony dziennik opowiada następującą anegdotę: Bonaparte bawiąc po zdobyciu Tulonu w Paryżu i mimo woli nieczynne pędząc życie, zapoznał się z kilku aktorami z *Theatre français*, a to go naprowadziło na myśl przez autorstwo dramatyczne otworzyć sobie nowe źródła przychodów. Ułożywszy, będąc młodzieńcem jeszcze, plan do trajedyi, napisał w alexandrynach dzieło dramatyczne; lecz odłożył je na bok, skoro znowu do działań wojennych powołanym został. Tak dalece jednak polubił tę swoję pracę, że będąc cesarzem już wydobył ją powtórnie i powierzył poecie Luce de Lanceval (autorowi *Achilaidy*), by trajedyję tę przerobił i dał na teatrze wystawiać. Lanceval zrobił co mógł i dzieło Napoleona obficie świetnémi farbami i sentymentalnémi wierszami przyozdobił. Dyrektorowie teatru francuzkiego, uważając tego za autora, co im trajedyję podał, nie chcieli jéj przedstawiać. Lecz odesłano im rękopismo z następującym rozkazem gabinetowym: »*Les acteurs du Theatre français joueront d'aujourdhui* »*en un mois la tragedie, qu'ils ont eu la betise de re-* »*fuser. Napoleon.*« Aktorowie domyślawszy lub dowiedziwszy się prawdziwego stosunku rzeczy, przysłaną im sztukę najlepszym członkom swoim dali do odegrania i taż, tak od widzów, jakoteż od zawiadomionych o wszystkiem krytyków, z największémi oklaskami i pochwałami przyjętą została. Sztuka ta nazywała się *Hektor*, a mniemany jéj autor, pod pozorem wszelako, iż jego autorska zasługa wynagrodzoną zostaje, za pracę przerobienia sztuki hojną otrzymał nagrodę.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*